

PRACA nad sobą

Zeszyt 30, październik 2003

Czyś nigdy nie doznał cudu?

Potocznie nazywamy cudem zdarzenie w świecie fizycznym, którego nie potrafimy wyjaśnić naszą posiadaną wiedzą, na przykład fakt, który się w latach siedemdziesiątych wydarzył w Krakowie: Chorej na raka zamierzano usunąć jeden z narządów. W toku operacji wykryto przerzuty na kilku innych organach, w tym na otrzewnej. Oznaczało, to że stan chorej jest beznadziejny. Zamierzonego usunięcia nie dokonano, zaszyto tylko z powrotem operacyjną ranę. Analiza cytologiczna potwierdziła rakowatość tkanek pobranych jako próbki. Rodzinie przepowiedziano kilka tygodni życia ciężko chorej, a gdy rodzona siostra zapragnęła wziąć chorą do domu, szpital chętnie ją wypisał. Rodzina otoczyła chorą serdeczną i pełną ufności atmosferą. Podawano jej niewinne zioła do picia i poproszono wszystkich znajomych o intensywną modlitwę. Były Msze Święte w naszej krakowskiej kaplicy, odprawiono nowenny. Chora doszła do zupełnego zdrowia. W dwa lata po zabraniu jej ze szpitala brała już udział w górskich wycieczkach. Szpital przy kontrolnych badaniach orzekł: *>>takie wypadki już się zdarzały wcześniej; nie potrafimy ich wytłumaczyć<<*.

Wiele cudownych uzdrowień wydarzyło się w przeszłości. Niektóre z nich nauka później wyjaśniła. Czy wyjaśni kiedyś i to, tu opisane? Niektórzy twierdzą, że zadziałały to dobre i ufne myśli całej grupy rodziny i znajomych zogniskowane w prawidłowych modlitwach, bo mało sobie zdajemy sprawy z bezpośredniej siły myśli połączonej z wolą. Inni - że wśród podawanych ziół znalazły się jakieś szczególnie odpowiednie na tę odmianę raka. Można snuć różne inne hipotezy. Dwie rzeczy są pewne. Po pierwsze - chora wyzdrowiała, bo Bóg tak chciał. Po drugie - zadziałały tu jakieś siły świata przyrody, bo Bóg działa przez założenia świata, które sam w ten świat wpoił. Oczywiście, mógł tych sił użyć w sposób niecodzienny.

Rzeczy niewyjaśnione. Tajemnice przyrody, świata mineralnego, roślinnego, zwierzęcego, a także świata psychiki ludzkiej budziły zawsze zaciekawienie, a ich wykrywanie, opisywanie, kolejne objaśnianie sprawia wielką radość naukowcom. Gdyby jednak nawet część ich pozostała nigdy niewyjaśniona i niewyjaśnialna, gdyby przyszło stwierdzić, że Stwórca

czasem dowolnie uchyla praw przez siebie danych światu, czy same takie cuda miałyby istotną wartość dla ludzi żyjących w świecie?

Estoński teolog, mistyk i badacz duchowy Valentin Tomberg widzi w świecie dwa wymiary działań. Jeden to wymiar poziomy, kiedy coś się przeksztalca na podobne do siebie, kiedy coś się dzieje w tej samej płaszczyźnie bytu. Nawet gdy powstaje w ten sposób coś znacznie bardziej skomplikowanego, rzadkiego, mądrego - nie jest to istotne dla ewolucji świata wdziałnego, który wskutek upadku grzechowego człowieka nie jest się w stanie prawidłowo rozwijać. Rzucenie przez lotnika bomby atomowej na Hiroszimę było czynem - w każdym razie - nie bardziej moralnym od rzucenia przez małpę orzecha kokosowego na głowę przechodnia. Rozwój w wymiarze poziomym, dobro w wymiarze poziomym, są zamkniętymi łańcuchami przyczyn i skutków, podlegają prawu „zachowania energii”, prawu wiecznych przemian nie wnoszących niczego w istocie nowego. Kwintesencją tego świata jest to, co Salomon o racjonalnej mądrości wypowiedział w księdze Koheleta *>>Cóż to jest co było? To samo, co potem będzie. I cóż to jest, co się stało? To samo, co się potem stanie. Nic nie masz nowego pod Słońcem<<* (koh 1:9,10). Człowiek uzdrowiony, obojętne czy w sposób dla nas zrozumiały, czy niepojęty musi i tak umrzeć. Właśnie, gdy powtórnie przeglądam ten napisany tekst, dociera do mnie wiadomość o ciężkiej chorobie osoby cudownie uleczonej z raka w latach siedemdziesiątych, o której jest mowa na początku. Rodzina jest przygotowana na jej śmierć. Chyba, żeby nastąpił znów „cud”. „Cudowne” uzdrowienie chorego ma samo dla siebie wartość, ale tylko taką jaką mają „cudowne” wschody i zachody Słońca, bo wszystkie dzieła Boże są niewątpliwie wspaniałe. Niektóre z nich potrafimy czasem uprosić u Boga modlitwą. Gdyby jednak modlitwa mogła wyprosić tylko skutki doczesne, przemijające, jej wartość nie byłaby wielka.

Inna jest wartość działań pionowych, wnoszące w świat fizyczny impulsy i moce ze świata ducha. Tu działa coś więcej niż zamknięty krąg przyczyn i skutków. Tu dopiero następują prawdziwe cuda. Ktoś, kto był przedtem tylko igraszka losu, staje się świadomym współpracownikiem Bożym. Ktoś, kto przedtem myślał tylko o swoim zbawieniu, teraz skutecznie umie pracować nad zbawieniem innych. Tylko wolne, niezależne od przyczynowości Boże działanie mogło stworzyć świat i tylko takie działanie może ten świat zbawić. Gdy Chrystus uzdrowił ślepego od urodzenia, wyjaśnił, że taki przebieg kalectwa i uzdrowienia był potrzebny po to, *>>aby się okazały sprawy Boże<<* w tym człowieku (Jan 9:3). I rzeczywiście uzdrowiony nie tylko oddał część Bogu, ale w nim powstało żywe działanie ducha. Od razu zaczął głosić chwałę Chrystusa mówiąc faryzeuszom *>>Zaiste dziwna jest rzecz, że wy nie wiecie skąd jest [Jezus], a otworzył moje oczy... Gdyby Ten nie był od Boga, nie mógłby nic uczynić.<<* (Jan 9:30,33). Podobnie było z każdym uzdrowieniem, wskrzeszeniem i w ogóle z każdym cudem Chrystusa. Zresztą w greckim oryginale Ewangelii w stosunku do takich faktów używany bywa wyraz *‘σημειον’* (semejon) co znaczy nie tyle *‘cud’* ile raczej *‘znak’*, również *‘symptom’*, *‘objaw’*. Nie zewnętrzna „cudowność” była główną treścią danego cudu Chrystusa; ona była tylko zewnętrznym znakiem. Istotnym był każdorazowy impuls, tworzący nowe możliwości w duszach ludzkich. I takie były, są i będą wszystkie prawdziwe cuda.

Gdy Mojżesz widział na pustyni krzak płonący, a niespalający się, istotnym cudem stało się to, że lekliwy przedtem człowiek, uciekający przed władzą faraona, nagle zdobył siłę ducha, aby wrócić do Egiptu, stanąć przed swym narodem, zapalić go do działania, wyprowadzić z niewoli zdegenerowanej religii egipskiej na pustynię, gdzie mógł rozwinąć cześć prawdziwego Boga. Cudem było gdy Eliaz potrafił wlać na nowo ducha w naród

izraelski odpadający od Boga. W cudowny sposób młodzieniec Franciszek zyskał moc ducha, aby się przeciwstawić oziębłości świata, sformalizowanym przepisom zakonnym i stworzyć prawdziwy zakon Boży. Prawdziwym cudem było też, gdy założycielka kapłańskiego Zgromadzenia Mariawitów, która się wprawdzie nieśmiało pytała ojca Honorata czy ojciec Franciszek może przychodzić na rozmowę do pracowni sióstr¹, doznała kolejnych impulsów pozwalających jej stworzyć silny ruch duchowy. Gdy prosiła o jakieś widoczne znaki swojej misji, Bóg jej odpowiedział >>znaki są te, które ja sam sprawuję w duszy każdego, któremu o tym powiesz <<².

Istotne znaki (cuda), to te o wymiarze pionowym, pozwalające światu i jednostkom na tym świecie dźwigać się w górę. Czyś nigdy nie doznał takiego cudu?

Czy Ci się nie zdarzyło, że się zabierałeś zrobić coś złego, niegodziwego i nagle przyszło Ci natchnienie „nie, to jest złe, więc mimo, że bezkarne i nęjące; nie zrobię tego”? Jeśliś coś takiego przeżył, doznałeś cudu.

Czy nigdy Ci się nie zdarzyło, że żyjąc „normalnie”, żyjąc „celowo” dla zdobywania wiedzy, stanu posiadania, szacunku u ludzi i pomnażania przyjemności, nagle zapragnąłeś zrobić i zrobiłeś coś zupełnie „nie celowego” ot tak, dla wyrażenia Bogu wdzięczności? Jeśliś coś takiego przeżył, to był cud.

A może zauważyłeś, że ile razy przystąpisz do komunii Świętej z istotnym zrozumieniem swojej małości moralnej i z wdzięcznością za miłość, jaką Cię Bóg obdarza, tyle razy napelnia twoje wnętrze pokój trwający dopóki znów nie napelnisz duszy troskami tego świata? Jeśliś to zauważył, to przeżyłeś największy cud świata, odczułeś rzeczywistość obecność Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie.

brat Paweł

¹ „Praca nad Sobą” zeszyt 7, str 20, 1998.

² Dz. Mił. s. 17, 133; *Początek zawiązku* akapit 24, *Pierwotny Tekst*, akapit 36.

=====

BÓG JEST PEŁNIĄ

*Bóg jest Pełnią
między kolejnymi wschodami i zachodami
Słońca.*

*W ciągu Dnia i Nocy
obracamy się w różne strony
ale zawsze ku Niemu
Panie, serce moje
pełne jest bólu oczekiwania
i tęsknoty.
Jestem jak spalona żarem trawa,
wysuszony bukłak*

*jedna czeka na rosę
drugi na napelnienie.*

*Ożywam dopiero wtedy
kiedy Ty, Pełnia, otaczasz mnie.*

*Ale przecież Ty zawsze mnie
otaczałeś.*

Aleksander Korwin-Szymanowski

=====

PRZYPOMNINIE REDAKCJI

Stosujemy obecnie w naszym piśmie podwójne odsyłacze do objawień Mateczki, mianowicie: stronica pierwszego wydania „Dzieła Wielkiego Miłosierdzia” oraz skrót nazwy danej księgi i numer akapitu według krakowskiego wydania objawień. Na przykład cytata słów Chrystusa >>Pokój tobie duszo<< przyjmuje oznaczenie: >>Dz.Miłosierdzia s.33, Początek zawiązku, akapit 57<<.

=====

Sierpniowe reminiscencje

Sierpień to ważny miesiąc dla mariawitów. Wydarzeń istotnych dla mariawityzmu zaistniałych w różnych datach sierpnia było wiele. Choćby: pierwsze Objawienie Dzieła Wielkiego Miłosierdzia dane Mateczce (1893 rok), wizyta Mateczki i kapłanów-mariawitów u papieża rzymskiego w celu poinformowania go o Objawieniach (1903), poświęcenie Świątyni w Płocku (1914), śmierć Mateczki (1921). Dlatego miesiąc ten jest sprzyjający do rozważań o różnych aspektach ruchu mariawickiego.

W sierpniu 2003 roku minęła sto dziesiąta rocznica pierwszego Objawienia Dzieła danego Mateczce i setna rocznica dnia, w którym Mateczka i kapłani mariawici podczas audyencji u Piusa X (13-VII-1903) wnieśli o uznanie przez Watykan zgromadzeń mariawickich za legalne w rozumieniu rzymskiego prawa kościelnego. Rozumując po ludzku, z punktu widzenia jednostki, od tych wydarzeń minęło wiele lat. Odnosząc się natomiast do nich z punktu widzenia dziejów ludzkości, okres nawet ponad 100 lat nie stanowi wiele. Warto więc w wirze codzienności znaleźć czas na mariawickie dywagacje.

Objawienia dane Mateczce dotyczą i Kościoła i społeczności ludzkiej. Były wskazówkami dla ludzkiego postępowania na czasy zbliżającego się przełomu. Kościół zachodni, a za nim większość społeczności wierzących, w pierwszym odruchu odrzuciła treść objawień. Ani kataklizmy wojen światowych z ubiegłego stulecia, ani rewolucje światowe nie przekonały ludzkości o konieczności naprawy według Boskich

wskazówek. Boży dar w postaci Objawień Mateczki został odtrącony, a co więcej, w szereg wrogich działań oficjalnie potępiony i skazany przez ludzi na niebyt.

W pewnym stopniu i my mariawici, przez nasze ludzkie przywary i brak zapалу w korzystaniu z danego nam Boskiego depozytu, przyczyniliśmy się do zepchnięcia idei mariawickiej na margines życia kościelnego i społecznego. Ktoś kiedyś powiedział, że idee dane przez Boga wymagają ze strony ludzi artyzmu dla ich realizacji na ziemi. Jeśli uznamy tę myśl za odnoszącą się i do nas, to ze skrucą musimy przyznać, że na miano artystów w zakresie wykonywania Bożego objawienia nie zasłużyliśmy. Byliśmy tylko marnymi wyrobnikami na niwie Boskiej. Często zamiast rzetelnie wypełniać Boskie nakazy, odwoływaliśmy się do zasług naszych poprzedników w ruchu mariawickim i na nasze opacznie pojęte wybraństwo. W naszym mniemaniu czasem już samo formalne przyznanie się do przynależności do ruchu mariawickiego jest wielkim osiągnięciem. Zapominamy jednak, że poza tym przejawem świeckiej odwagi, idea mariawicka wymaga innych, bardzo istotnych ludzkich zachowań. Uważamy także, że samo uczestnictwo w liturgii mariawickiej stanowi o naszym wypowiedzeniu się za mariawityzmem. Nawet się nie staramy sprawdzić w naszych sumieniach, czy to uczestnictwo nie jest li tylko wykonaniem tradycji. Trudno zaprzeczyć, że wobec niewybrednej i niechrześcijańskiej nagonki antimariawickiej prowadzonej przez niektórych braci w wierze chrześcijańskiej (kleru i świeckich), publiczne przyznanie się do przynależności do ruchu mariawickiego jest dowodem świeckiej odwagi, a udział w liturgii mariawickiej jest ważnym elementem w życiu duchowym zaleconym przez Mateczkę. Wierzę, że większość z nas, mariawitów, udziału w życiu Kościoła nie traktuje tylko jako nakazu tradycji. Mimo to, odnotowujemy brak przysłowiowego artyzmu w naszej mariawickiej praktyce, brak polotu ducha i rzetelnego wypełniania naszego posłannictwa. Nie potrafimy czynem zaświadczyć mariawickiego powołania. Odpowiedzieć na Boże powołanie do mariawityzmu, to pokazać światu na czym spełnienie tego powołania polega. Uznanie idei mariawickiej za swoją, to połączenie naszych praktyk religijnych z życiem codziennym. Odwołajmy się do jednego choćby przykładu. Logicznym wynikiem mariawickiego obowiązku częstej i godnej Komunii Świętej jest przykładne życie ludzkie. Nie uwierzę, że po godnie przyjętej Eucharystii, przeżytej nawet w krótkiej, ale rzetelnej modlitwie, przez dużą część dnia nie będziemy w ścisłej jedności z Bogiem, nie będziemy postępowali zgodnie z Jego przykazaniami. To w konsekwencji spowoduje naszą systematyczną poprawę ducha i zauważalną, pozytywną inność od otaczającej szarzyzny życia. Suma takich indywidualnych zachowań człowieka w określonym czasie będzie dowodem na praktykowanie idei mariawickich. Jeżeli tego rodzaju praktyka stanie się udziałem grupy ludzi, musi zostać zauważona przez innych członków społeczeństwa, co stworzy w konsekwencji opinię, że mariawityzm jest żywotną i pozytywną ideą wyznawaną w praktyce. W takiej sytuacji będziemy mogli uznać w swoim sumieniu, że odpowiedzieliśmy na Boskie wezwanie, a dar Boży przejawiony w Objawieniu Mateczki nie został przez nas zmarnowany.

Odrzucenie Objawień Mateczki przez większość ludzkości nie oznacza, że były one daremne; że kolejny raz inicjatywa Boga skierowana do wolnej woli człowieka nie została przez ludzkość akceptowana. To odrzucenie, ba potępienie objawień przez oficjalne czynniki kościelne, nie zamknęło drogi Miłosierdziu Bożemu do serc ludzkich. Także nasza mariawicka opieszałość w praktykowaniu Dzieła Wielkiego Miłosierdzia Bożego, nie stanowi przeszkody dla coraz powszechniejszego rozwoju przekonania, że bez tego Miłosierdzia ludzkość nie będzie mogła odpowiedzieć na wezwania stawiane przed nią przez rozwój sytuacji na ziemi. Abstrahuję od wszelkich oficjalnych działań papieskich związanych z „wyniesieniem na ołtarze” siostry Marii Faustyny, czy budową

sanktuariów poświęconych Bożemu Miłosierdziu. Wierzący, powoli zwracają się ku Bożemu Miłosierdziu poprzez stosowne praktyki religijne. Wydarzenia, których jesteśmy świadkami, dowodnie wykazują, że odrzucenie przez papieństwo Dzieła Bożego Miłosierdzia 100 lat temu nie zahamowało wypełnienia się słów Pana Jezusa przekazanych Mateczce, a odnoszących się do wydarzeń *czasów ostatecznych* - czasów przełomu. Słowo Boże triumfuje nad bezduszną jurysprudencją kościelną nakazującą „doszczętne skasowanie” ruchu mariawickiego.

Stan kapłański, tak ostro napominany w Objawieniach, przeżywa wielki kryzys, czego dowodem niech będą choćby różnego rodzaju afery obyczajowe i fiskalne, w których uczestniczą nie tylko szeregowi duchowni. Wierni, pozbawieni właściwej formacji religijnej, stają bezradni wobec wymogów stwarzanych przez wypadki dziejące się w świecie. Ogólne rozprężenie moralne w gronie tak zwanych elit państwowo-gospodarczych, jak i wśród polityków o światowym znaczeniu i całych społeczności ludzkich, grozi ludzkości nieprzewidywalnymi konsekwencjami. Ludzkość zaczyna się gubić w złości i gwałtach. Jeżeli się teraz nie odwoła generalnie do Bożego Miłosierdzia, może się znaleźć w bardzo groźnej sytuacji. Mariawici powołani zostali między innymi do wynagradzania za grzechy i nieprawości tych, którzy odeszli do Boga i nie chcą Go „znać i miłować”. Uwzględniając to powołanie można powiedzieć, że w *czasach ostatecznych* mieliśmy spełniać tę rolę, której Bóg oczekiwał od 10 sprawiedliwych w Sodomie. Gdy tych sprawiedliwych zabrakło, Bóg ukarał sprzeniewierców. Ufni zaś wyłącznie w ziemskie umiejętności i odrzucający pomoc Bożą ukarani mogą zostać jak budowniczywie biblijnej wieży Babel. Wobec groźnych sytuacji rozgrywających się w świecie chciałoby się, aby ludzkość wyciągnęła wnioski z Bożych nauk i sięgając prawidłowo po Boże Miłosierdzie, odnalazła wskazówki jakie wytyczają Objawienia Mateczki na obecne czasy grozy i przemian. Nasze miejsce, uznających dar Bożego Miłosierdzia, jest w gronie uznających Boże Objawienie i praktykujących Boże zalecenia. Jednak musimy ten dar odczytać na nowo i swym postępowaniem zaświadczyć, że jesteśmy godni Bożego wybraństwa. Mariawickie rocznice sierpniowe przeżyte głęboko w duchu, mogą nas natchnąć nowymi siłami i z wyrobników stworzyć Bożych artystów. Nie pozwólmy, abyśmy się znaleźli po stronie ukaranych, jak biblijni mieszkańcy Sodomy i Gomory oraz budowniczywie wieży Babel.

Otrząsnąć się z marazmu i próbować się wspiąć na wyżyny „artyzmu” duchowego, nie jest łatwo. Często z takim zamierzeniem wiąże się przyjęcie obowiązków przekraczających - wydawałoby się - nasze ludzkie możliwości. Potrzeba mierzenia „sił na zamiary, a nie zamiarów według sił”. Konieczność przyjęcia obowiązków przerastających - według naszego przekonania - możliwości często jest przyczyną, dla której rezygnujemy z pracy duchowej. Chlubne zamiary przybierają w naszych wyobrażeniach charakter utopii, a my usprawiedliwiamy się przed sobą z nieczynności duszy. Rezygnacja z chęci wyjścia z marazmu duchowego jest poważnym błędem zaniedbania, odrzuceniem także naszego powołania jako chrześcijan i mariawitów. Powinniśmy w chwili zwątpienia wziąć pod uwagę, że Mateczka także z pokorą przyjęła nałożony przez Boga na jej barki ciężar naprawy Kościoła i ludzkości. Skromna zakonnica, nieznaną szerszemu ogółowi kobieta, w imię Boże rzuciła wyzwanie wielkim tego świata i nie dała się zwieść z drogi powołania ani przez kary kościelne, ani prześladowania, ani przez zewnętrzne przeszkody, które dla innych byłyby druzgocącymi klęskami. Nieraz zawiodła się na ludziach, którzy stawali obok niej i deklarowali współpracę i posłuszeństwo. Przeżyła upadek niejednego powołania zakonnego i gorycz ludzkiej zawiści. Życie nie oszczędziło jej poniżeń i goryczy. Ale pokonała słabości ludzkie i szła prostą drogą wytyczoną przez Boga w Objawieniach. Za złości ludzkie zapłaciła ciężką chorobą i przedwczesną śmiercią. Bogu się jednak nie sprzeniewierzyła.

Przeczytawszy to może ktoś powiedzieć, że przytoczenie przykładu Mateczki, wybranej Bożej, jest niewłaściwe. Za powołaniem Mateczki i jej działaniem stał Bóg i był opoką dla niej. Dlatego było jej łatwiej znosić przeciwieństwa i walczyć ze swymi, ludzkimi słabościami. Przeciwny, wierzący mariawita, podrywający się z oziębłości ducha, nie ma takiego oparcia, więc jest słabą stroną w walce ze złem. Ale ja nie sądzę, aby przykład Mateczki był nieadekwatny do przedstawionego tu apelu o mariawicki zryw duchowy. Każdy z ludzi stworzony jest na „obraz i podobieństwo Boże”. To stanowi o naszym Bożym synostwie.. Z nauk Pana Jezusa przekazanych nam w Ewangelii wynika, że ojciec z radością wita syna marnotrawnego, a zapominając o jego odstępstwach i załamaniach przebacza mu wszystkie przewiny. Dlaczego więc mielibyśmy być w gorszej sytuacji u Boga, niż biblijny syn marnotrawny u swojego ojca? Mariawityzm jest wyzwaniem Boga wobec świata, a zarazem wskazówką dla ludzi pragnących odpowiedzieć na Boskie synostwo. Dlatego winniśmy w czasie zadumy nad wspomnianymi rocznicami wyciągnąć właściwe wnioski i pójść za głosem Pana, pamiętając, że powiedziano w Objawieniach Mateczki, iż nasze prośby zanoszone do Boga, jeśli będą zgodne z wolą Bożą, zostaną wysłuchane. Trudno zaś uznać, że prośby wznoszone do Boga o wsparcie dla naszych zamiarów wypełnienia Jego Objawień, mogą nie być zgodne z Jego wolą. Musimy tylko gorąco chcieć wznieść się na wyżyny duchowego artyzmu porzucając szarzyznę duchowych wyrobników.

brat Jerzy

===== **POKUSĘ TRZEBA PRZEŻYĆ** =====

Postawiony tytuł może niejednego zgorszyć. Chrystus trzy pokuszenia z miejsca odrzucił, więc dlaczego nasze pokusy mamy przeżywać? Odpowiedź jest prosta. Jeśli potrafię daną pokusę z miejsca odrzucić tak, aby przestała być na zawsze dla mnie kusząca, mogę i powinienem ją odrzucić w jednej chwili. Jeśli jednak raz odrzucona ma wracać do mnie wielokrotnie, może z większym natężeniem niż na początku, najlepszą metodą jest pokusę przeżyć. Ale uwaga, to nie znaczy ulec jej.

Pokusa powoduje w człowieku pewnego rodzaju rozszczępienie, pęknięcie. Pokusa zawsze zawiera w sobie - tak, jak każde kłamstwo - prawdę i nieprawdę. Żadne kłamstwo nie byłoby przyjęte, gdyby nie zawierało w sobie trochę prawdy. Przyciąga prawda, a potem dopiero gnębi człowieka to, co w pokusie było kłamliwego. Valentin Tomberg wyróżnia trzy rodzaje pokus. Są pokusy intelektualne, atakujące rozum. Rozszczępienie wywołane przez nie jest powątpiewaniem o tym, co w istocie jest pewne. Istnieją pokusy inne, dotyczące uczuciowego życia duszy. Tu rozszczępienie ma charakter oczarowania. Są też pokusy działające wprost na poziomie woli. Rozszczępienie przez nie wywołane, niektórzy nazywają uwiedzeniem. Tu zaczyna człowiek chcieć tego, „czego nigdy by nie chciał”.

Proces zwalczania jakiegokolwiek pokusy jest u niedoskonałego człowieka podobny do procesu trawienia. Z wyjątkiem sakramentów i innych świetlistych wydarzeń, których w normalnym życiu przyjmujemy do duszy tyle, ile lekarstw przy posiłkach, codzienny pokarm duszy stanowią bez wyjątku pokusy, bo większość sytuacji i wrażeń naszego życia oprócz cech prawdziwych, pięknych i wzniosłych ma również właściwości wprowadzania nas w zwątpienie, oczarowuje nas lub uwodzi. Nasz organizm trawiąc rozdziela pokarm na składniki przyswajalne i te włącza w życie, oraz na składniki, których przyswojenie byłoby szkodliwe i te wydalą. Osesek

musi dostawać specjalny pokarm, aby go mógł strawić. Organizm dorosłego człowieka umie trawić większość pokarmów, to znaczy oddzielać to, co pożyteczne, nawet z potraw i używek częściowo szkodliwych. Niestety w dziedzinie przetwarzania przeżył duszy przeważnie nie nabraliśmy z wiekiem takich umiejętności. Wraz z pokarmem włączamy w życie duszy elementy bezwartościowe, a również trujące.

Jestem człowiekiem myślącym. Często jednak bywam zbyt leniwy, aby przemysleć rzeczy do końca. Poddaję się przesadom, idę za głosem tłumy, popadam „w trans” poddając się fantazjom własnym, lub kierownictwu wątpliwych przywódców ekonomicznych, politycznych lub fanatyków pseudoreligijnych. Takie zamroczenie jasnego rozumowania kończy się, gdy dane dzieło zostaje doprowadzone do katastrofy. Wtedy gotów jestem zważać o wszystkim łącznie z istnieniem sprawiedliwego Boga. A powinienem sobie powiedzieć: przeżywam objawy zatrucia, bo się kierowałem podświadomością zamiast jasnym, świadomym umysłem. W przyszości w podobnej sytuacji nie postąpię już tak głupio. Nie mogę obiecać, że zawsze od razu odróżnię każdą prawdę od kłamstwa, ale się będę o to starał i wierzę, że Bóg mi w tym pomoże. Kiedy indziej sądzę, że mój umysł, który teraz sprowadzam wyłącznie do poziomu racjonalnego rozumu, działa bezbłędnie, kiedy przyjmuję materialistyczny sposób myślenia, kiedy moje poczucie piękna zastępuje „świadomie” pojęciem pożytku, kiedy życie mojej własnej duszy staram się zrozumieć jako zestaw odruchów warunkowych i bezwarunkowych, kiedy wszystko chcę sprowadzić do praw chemii i fizyki, kiedy pozwalam się oczarować „współczesnej nauce” jako tej, która wie wszystko. A może myślę sobie, że skoro wszystko jest materia, to nie ma istotnej różnicy pomiędzy czymś dobrym, a złym. A więc dobre jest to, co komuś sprawia przyjemność. A może jeszcze w inny sposób pozwalam się oczarować pozorom tego materialnego świata? Im wcześniej w każdym z tych przypadków zauważę zatrucie, im wcześniej postanowię odróżnić wartość i piękno prawdziwe od wartości pozornych i piękna zdegenerowanego, tym dla mnie lepiej.

A jeszcze jeden rodzaj pokus to lekceważenie innych istot, pokusa traktowania wszystkiego tylko z punktu widzenia mojego pożytku. Chcę sobie wszystko podporządkować. To nie jest łatwe. Ale może pomalutką zaczyna mi się udawać. Podporządkowują mi się ludzie bliscy i dalecy, ograniczam ich wolność, zmuszam ich do służenia sobie i wydaje mi się, że jestem panem jeśli nie świata, to mojego otoczenia. Nie zauważam, że to właśnie ja podporządkowałem się w pełni złemu duchowi, wykonuję jego rozkazy, zostałem uwiedziony przez niego i jemu służę.

Przyroda troszczy się sama o to, abyśmy po wyjściu z niemowlęstwa umieli dobrze trawić pokarmy. Nauka „przetwarzania” pokarmów duszy, wprawa w oddzielaniu pożytecznego od szkodliwego, pozostawiona jest wolnemu postanowieniu każdego z nas.

Każdy dzień otacza nas nawalem pokus. Nie tylko nie każdą umiemy z miejsca odrzucić, ale nawet często nie potrafimy rozpoznać jako pokusy. Gdy ubierając się wkładam nowe, śliczne buty, gdy sąsiad wita mnie złym wzrokiem, lub przeciwie grzecznym pozdrowieniem, gdy mijam zwał śniegu, gdy patrzę na piękną witrzynę sklepu, czytam reklamy domu handlowego, gdy zjadam smacznego (lub niesmacznego) obiad, gdy w rozmowach chwale lub ganię innych ludzi - mam do czynienia z mieszaniną prawdy i kłamstwa, rzeczy pożytecznych i szkodliwych, mieszaniną prawdziwego piękna i zbędnego blichtru. Każdy dzień może służyć nauką „trawienia pokus”, nie poddawania się im, albo - przeciwnie - może prowadzić do coraz większego zatrucia duszy. Dobre trawienie, to nie tylko nie przyswajanie substancji szkodliwych, ale i nie wydalanie pożytecznych. Uczmy się więc wykorzystywać sytuacje dla duszy pożyteczne. Ważnym elementem nauki prawidłowego trawienia pokus jest każdy rachunek sumienia. Dobrze jest taki rachunek robić co dzień. Starajmy się o dobre i coraz to lepsze „trawienie”.

Człowiek dbający aby nie podlegać podświadomym zamroczeniom, to człowiek dążący do czystości w życiu. W wielu zakonach składa się śluby czystości, pod którą się rozumie jeden tylko jej rodzaj: czystość erotyczną. Święty Franciszek i pierwsi franciszkanie nie składali takich ślubów, ale się potrafili nie poddawać żadnym zamroczeniom. Zyli życiem czystym,

objętne, czy byli celibatariuszami, czy zawierali małżeństwa. Dbać o czystość życia winien każdy człowiek, a tym bardziej każdy mariawita.

Posłuszeństwo jest przeciwieństwem chęci podporządkowania wszystkiego sobie. Idealne posłuszeństwo widzimy w Najświętszej Marii Pannie. Była ona z początku posłuszna swoim rodzicom, potem posłuszna swojemu świętemu małżonkowi Józefowi, ale po jego śmierci posłuszna była już tylko i bezpośrednio woli Bożej. Przeciwieństwo pożądanego władzy, to nie po prostu usunięcie się w cień lub ślepe podporządkowanie się komuś, ale pełnienie tego, do czego nas Bóg przeznacza, stałe odróżnianie woli złego ducha oraz naszej własnej woli od Woli Bożej. Mateczka złożyła ongiś śluby ubóstwa, posłuszeństwa i czystości. Gdy chciała je odnowić, wtedy Bóg kazał jej złożyć tylko jeden ślub: pełnienia woli Bożej tłumacząc: >>*Ten jeden znosi tamte trzy śluby*<<¹. Starajmy się rozumieć i wykonywać wolę Bożą. Im jaśniej potrafimy dostrzec tę wolę, im wierniej ją wykonujemy, tym łatwiej nam się parać z pokusami.
brat Paweł

¹ *Dzielo Miłosierdzia s.49, Wyjątki z objawień* akapit 38.



MARYJNOŚĆ I TRADYCJA

Niektórzy chrześcijanie uważający się za prawdziwych uczniów Chrystusa chcą od nas usłyszeć, że nie wierzymy w jakąś Boginię, która urodziła Boga, ale tylko w człowieka, który urodził Boga-człowieka (wcielenie).

Cześć dla matki Jezusa - matki człowieka, który jest Bogiem, protestantom nie jest obca. Podobnie jak szacunek dla apostołów i proroków. Na tym gruncie można i należy rozwijać mariologię biblijną. Przykłady świętych pociągają, kształcą i jednoczą. Poza tym pokazują co jest ważne. Trzymanie się tego rozróżnienia usuwa wiele problemów na drodze do jedności, której pragniemy, a także pozwala odkrywać tę już istniejącą jedność.

Święci dokonują hierarchizacji prawd - dlatego, że są konkretnymi ludźmi, a nie koncepcjami intelektualnymi. Czyści teoretycy chętnie budują systemy myślowe, a potem się boją cokolwiek zmienić. Strach: „Może się system rozpadnie!”. Osoby święte są praktykami, a to pociąga za sobą konieczność trzymania się rzeczy najważniejszych. Często wtedy trzeba poświęcić sprawy drugorzędne.

Hierarchia prawd zawsze da się odczytać z działań konkretnych ludzi. Święci nigdy nie traktują wszystkich prawd wiary jednakowo. Tymi, którzy nie mogą odróżnić: *ważne - najważniejsze - nieważne*, są osoby *de facto* nie wierzące. Obawiają się one pomówień, że „rezygnują z istotnych prawd naszej religii”. W ten sposób traktują depozyt wiary jako skostniałą konstrukcję, a nie żywą budowlę. Boją się, że wyjęcie jednej belki - zawali całość misternej konstrukcji, której działania nie rozumieją, ani siły żywego organizmu nie czują. Trzymają się więc nieistotnych fragmentów, bo się boją o całość. I paradoksalnie: to jest właśnie źródłem upadku! - Skostnienie, martwica, wyschnięcie, pożar, popiół, który wiatr rozwiewa i nie zostawia ani śladu.

Życie świętych jest jednocześnie hierarchizacją prawd wiary i zastosowaniem do konkretnych okoliczności. Przy okazji jest świadectwem, że to, co głoszą, jest możliwe do wykonania. Nie chodzi tu o banalne stwierdzenie, że trzeba uczynkami poprzeć słowa, któremu czyści teoretycy przeciwstawiają tezę: „Prawda zawarta w słowach pozostaje prawdą bez względu na czyjekolwiek uczynki”. Ale chodzi o to, że człowiek święcie postępujący lepiej rozumie, co mówi i z łatwością omija te rzeczy, które by były trudne, a przy tym nie najbardziej potrzebne, lub nawet - w konkretnych warunkach - szkodliwe. Tego nie potrafi zrobić niewierzący teoretyk.

Dzieci, które są szanowane przez bliskich, skłaniane do podziwiania świętych, mają bardziej pozytywny obraz samego siebie niż te, które się pozostawia „same” w walce ze światem. Świat jest bowiem miejscem niebezpiecznym, a kto chce wmawiać dziecku coś innego, naraża je na bezradność. Człowiekowi mającemu przygotowanie polegające na naśladowaniu świętych, napotkana niesprawiedliwość daje tylko okazję do „wypробowania metody”. Dla nieprzygotowanego - jest powodem przewartościowania systemu moralnego na bardziej „praktyczny”. - Silny wygrywa, a słaby jeszcze go przeprosza. Jest to demoralizacja. Człowiek (również dorosły) pozostawiony bez wzorców - przyjmuje to co JEST, to co daje otoczenie.

Nie trzeba dodawać, że dzisiejsze otoczenie jest głównie pogańskie, lub ateistyczne. W ten sposób wychowuje się dziecko na człowieka bezradnego wobec zła. Ewangelia obiecuje sprawiedliwość w przyszłości. Towarzystwo świętych i społeczność wierzących daje siłę już teraz. Tu jednak trzeba podnieść alarm: dzieci osób wierzących nie są automatycznie osobami wierzącymi. Ich wiara nie jest jakąś obowiązującą „regulą”. Zatem instytucja szkolnych lekcji religii - to coś jakby ludzi z przystanku autobusowego przemocą zgromadzić w szkółce niedzielnej. Oczywiście nic to nie da.

Dorośli chrześcijanie mają ten luksus, że się zbierają w gronie wierzących. Dzieci - nie. Gdyby się dało zapewnić dzieciom dobrowolność uczestniczenia w lekcjach religii, to byłaby szansa na stworzenie młodej społeczności wiernych. Ale takiej możliwości się dziś nie daje. Lekcje religii są tylko przechowalnią z religijną ornamentyką. Zasady na nich panujące nie różnią się od tych ze świata. Wierni powinni mieć społeczność; dotyczy to także dzieci. Inaczej mamy do czynienia z religijnością domową - dopóki dziecko jest małe, a potem - z „samotniczą”, bo grupy wiernych nie ma. Tym ważniejszy jest przykład świętych. Maryja jest wtedy postrzegana jako jedna z nich. Jej życie ukryte jest szczególnie podobne do życia wierzącego dziecka. Natomiast trudno się dziecku utożsamiać z głosicielami typu świętego Pawła w sytuacji, kiedy samo nie ma jeszcze prawa decydowania o sobie.

Niestety te cechy Maryi, które ją wyróżniają od innych świętych, nie są cenione przez wszystkich chrześcijan. Czy jednak w imię jedności należy ograniczać religijność do części wspólnej? Nie, przenigdy! Jednak czy niechcący się to nie zdarza? - Tak! Nabożeństwa ekumeniczne - na przykład - to takie, w których Maryja występuje jedynie jako matka Jezusa-człowieka. Zatem niechcący sprowadza się religię do minimum. Tak pojęta jedność nie zgadza się z zasadą pojednanej różnorodności, i w praktyce nie udaje się tej niezgodności przeskoczyć. Wskutek tego to, co ekumeniczne, jest jednocześnie obce dla kościołów tradycyjnych. Dlatego powstaje konieczność uprawiania ekumenizmu bliskiego sercu i teologii opartej na Tradycji. Takim jest ekumenizm maryjny.

Dotychczasowy ekumenizm przejawia wyraźnie chęć zrozumienia i przyjęcia duchowości strony protestanckiej. Nie widać tej chęci w stosunku do pozostałej części chrześcijaństwa. A przecież ekumenicznie nastawieni protestanci właśnie chcą pojąć i

zrozumieć duchowość strony tradycyjnej. Musimy spełnić ich oczekiwania, pokazać tę stronę maryjną, jeśli ją jeszcze sami posiadamy. W przeciwnym przypadku niesłusznie oskarżamy protestantów, że nie są otwarci do dialogu i szukania jedności. Czasem ktoś się nawet posunie do stwierdzenia, że religijność „ludowa” (czyli maryjna) jest zbyt prymitywna na to, by się otworzyć na ekumenizm. W rzeczywistości takie stawianie sprawy dowodzi właśnie prymitywizmu. Rozdźwięk bowiem przebiegający między dzisiejszymi chrześcijanami jest w istocie rozdźwiękiem pomiędzy pierwszym tysiącleciem i dzisiejszymi tradycjonalistami - z jednej strony, a odrzucającymi Tradycję pierwszego tysiąclecia - z drugiej. Tego sporu nie da się uciszyć metodą „przerobienia” wszystkich na protestantów, bo i tak zostaną niektórzy chrześcijanie pierwszego tysiąclecia jako wymowni świadkowie prawdziwej wiary. W ten sposób dziura nie da się załatać, ponieważ dotyczy samych fundamentów pojmowania Objawienia Bożego. - Jedni Objawienie rozumieją jako Pismo i Tradycję, - drudzy odrzucając ciągłość Tradycji i przyjmują, że to, co w przeszłości przyjęto na mocy nieomylności soborów powszechnych, i tak jest zawarte w samym Piśmie Świętym. Stąd wynika, że sobory były niepotrzebne. Jednak już wcześniej chrześcijanie zauważyli, że nie da się niektórych rzeczy ustalić jednoznacznie tylko na podstawie litery Pisma świętego. Dlatego przyjęli, że skoro Kościół jako całość mylić się w podstawowych sprawach nie może, to jego reprezentatywne zgromadzenie ma asystencję Ducha Świętego i jest nieomylnie. Bazą dogmatyczną każdego z tych zgromadzeń były dotychczasowe ustalenia poprzednich soborów. Kiedy było konieczne pojednanie między chrześcijanami - zwoływano sobór. Dopóki różnice teologiczne nie były duże, nie było sporu, nie było też potrzeby zwoływania soboru. Tak wszystko trwało do wielkiej schizmy roku 1054, kiedy Zachód przyjął „filioque” i w ten sposób stworzył warunki potrzebne do zostania heretykiem.

Usunięto w kącie Tradycję. Zreformowano system zarządzania Kościołem - przekształcając go w monarchię. Pięćset (bez mała) lat później nastąpił dalszy podział, bo ludziom trudno było znieść panoszenie się niektórych księży. „Wylano dziecko z kąpielą” - odsunięto księży, odrzucono Tradycję. Nie byłoby to konieczne, gdyby nie wcześniejsze zerwanie z zasadami pierwszego tysiąclecia. Przecież chrześcijanie pierwszego tysiąclecia mieli języki narodowe w liturgii, zasadę soborowości, niezależności biskupów. Później trudno było nie odrzucić tego, co przoderżyło się w obrzydliwy ucisk fiskalny dworu papieskiego. Tylko, że to nie była tradycja pierwszego tysiąclecia. To, co zostało odrzucone nie było w żadnym mierze z tą Tradycją zgodne.

Istotne elementy tej pierwszotysięcletniej tradycji - na przykład Trójca Święta - pozostały. Niestety nie wszystkie. Gdyby protestantyzm już wtedy wprowadził zasadę soborowości, prawdopodobnie nie musiałby się dzielić, w każdym razie nie z taką prędkością.

Okazuje się, że łatwiej odrzucić papieństwo niż zmienić własną mentalność ukształtowaną przez to papieństwo. Rzym trzymał się Tradycji bez jej zrozumienia; trzymał się łaciny pomimo, że przestała już być językiem plebsu. Z kolei pierwsi protestanci spirali się o tak zwaną ortodoksję protestancką i w ten sposób usztywniali teologię, aż do skostnienia.

Rzeczywistą przyczyną skostnienia jest lęk przed utratą prawdy. Ten, kto się odłącza, boi się, że utraci kontakt z Tradycją. Dlatego ze wszystkich sił inwentaryzuje stan wiary, potem trzyma się go sztywno i w ten sposób tworzy nową „ortodoksję”. a tak na prawdę skostniała struktura. Przychodzi ktoś następny, stwierdza, że nie o to chodziło, następuje kolejne odłączenie... i tak dalej. Zauważmy, że w ten sposób tworzą się struktury niezmiernie spójne wewnętrznie. Wielka spójność wewnętrzna nie pozwala na zbyt serdeczne kontakty zewnętrzne. Mamy więc jedność „po trupach” wewnątrz i kompletną niezależność pomiędzy

kościółami. Inaczej jest w zasadzie soborowości. Jest do kogo się odwołać w razie bycia uciskanym przez biskupa, są szanse na ułożenie poprawnych stosunków między kościołami

Jan Jasmorzewski

RECENZJE, POLEMIKI

„DZIEŁO BOŻEGO RATUNKU”

(okiem racjonalisty)

Redaktor Janusz Andrzej Wieczorek, nie będący mariawita, nadesłał nam recenzję wydanej ostatnio książki Arcybiskupa Kościoła Katolickiego Mariawitów brata Marii Rafała Wojciechowskiego. Namyślaliśmy się, czy tę recenzję zamieścić, ponieważ pewne rzeczy dla każdego mariawity oczywiste, są w niej wnikliwie kontestowane, inne zaś, nad którymi ortodoksyjni „płocki” mariawita gotów się jest poważnie zastanowić, tu są przyjmowane całkiem prosto. Uznaliśmy po namyśle, że taka właśnie recenzja odbija się w świadomości życiowego czytelnika stojącego jednak na zewnątrz mariawickiego ruchu. Właściwie każdy akapit poniższej recenzji wymagałaby redakcyjnego komentarza. Powstrzymujemy się jednak od niego. Kto usiłuje krzewić myśl mariawicką na zewnątrz mariawickiej społeczności, znajdzie w tak właśnie napisanym tekście pobudkę dla siebie do przemyślenia, jak należy przygotowywać podawanie obcym różnych aspektów mariawityzmu, aby mogły być właściwie pojmowane.

Redakcja

Dzięki uprzejmości siostry przełożonej M. Beatrycze Szulgowicz uzyskałem możliwość zapoznania się z książką brata arcybiskupa Józefa M. Rafała Wojciechowskiego pod tytułem *Dzieło Bożego Ratunku*¹. Ponieważ, jak pisze we wstępie autor >>przekazany został w niej całokształt nauki, jaka rozwinęła się, po rozłamie w Kościele Mariawickim, w Mariawityzmie Felicianowskim<< (s.7) a także ponieważ >>książka [ta] chce dać społeczeństwu szansę nie tylko zrewidowania swojego stosunku do Mariawityzmu, ale skorzystania z Bożych środków Dzieła Wielkiego Miłosierdzia<< (s), starałem się ją nie tylko przeczytać, ale - jak chce współczesna dydaktyka - przeczytać ze zrozumieniem.

Na początek spróbuję określić swój stosunek do mariawityzmu w ogóle, a do nauki, jaką prezentuje w swej książce arcybiskup Rafał, w szczególności. Urodziłem się 10 lat po II wojnie światowej w Krakowie, a więc zbyt późno, i również zbyt daleko od terenów tradycyjnie mariawickich, by mieć jakikolwiek osobisty pogląd na kontrowersje jakie miały miejsce wokół mariawityzmu w okresie przedwojennym. O istnieniu takiego kościoła dowiedziałem się z „trzeciej ręki” w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a to, co spowodowało moje nim zainteresowanie, to były uzyskane informacje o szeroko prowadzonych przed wojną próbach praktycznego zastosowania owej *caritas* płynącej z Ewangelii miłosierdzia, słowem o ówczesnym, zaginionym po wojnie, programie społecznym. Jeżeli chodzi natomiast o sposób postrzegania świata, to jestem racjonalistą, a do pewnego stopnia nawet matetrialistą. Sposób mojego myślenia określa postawa Samarytanki, która powiedziała Jezusowi: >>**Wiem że przyjdzie Mesjasz zwany Chrystusem**<< (Jan 4,25). Jestem również „fundamentalistą biblijnym”, który teksty Pisma Świętego odczytuje i rozumie dosłownie, Odróżniam więc fakt ukazania się Józefowi cieśli aniola we **śnie** (Mateusz 1,20) od wydarzenia, w którym apostołom: Piotrowi, Jakubowi oraz Janowi, u boku Jezusa ukazali się **fizycznie i rzeczywiście** Mojżesz i Elias (Mateusz 17,3). Jest otóż we mnie więcej *wiem* niż *wierzę*, co nie oznacza, że zaprzeczam istnieniu rzeczywistości niematerialnej, ponieważ wiem,

że pewne obiektywnie istniejące elementy naszego ziemskiego świata są niezwykle trudne do zdefiniowania, jak również mam świadomość tego, że wielu doświadczyło całkiem rzeczywistej manifestacji bytów niematerialnych.

Nie będąc więc członkiem społeczności mariawickiej, a również nie będąc duszpasterzem czy duchownym żadnej innej denominacji, nie odnoszę się w ogóle do listów Pasterskich arcybiskupa Rafaela (s.172-360 książki). Postaram się natomiast podzielić tym, co - i jak, zrozumiałem z przedstawionej nauki, nie przejmując się bynajmniej tym, że - jak pisze autor: >>społeczeństwo w sprawach Mariawityzmu było manipulowane i dlatego posiada o nim fałszywe wyobrażenie<< (s.10).

Człowiek otóż wychowany poza środowiskiem mariawickim musi samodzielnie zrozumieć i wyrobić sobie osobisty pogląd na pewne historyczne, a również i doktrynalne fakty, które w efekcie swojego dojrzenia w określonych religijnych, społecznych i historycznych warunkach, wydały, słabo jednak poznany, a często faktycznie fałszywie pojmowany owoc. Do takich faktów zaliczyć należy:

- Objawienia otrzymane przez Marię Franciszkę Kozłowską.
- Założenie (w powszechnej opinii) przez kobietę męskiego zgromadzenia zakonnego, a w konsekwencji i w wyniku ewolucji - dwóch kościołów.
- Nałożenie na Marię Franciszkę Kozłowską i ojca Jana Marię Michała Kowalskiego ekskomunikacji większej czyli kłątwy..
- Naukę o ustaniu Ofiary Mszy Świętej.
- Reformy wprowadzone przez arcybiskupa Jana Marię Michała Kowalskiego w Katolickim Kościele Mariawitów.
- Wywodząca się z ksiąg Izajasza i Daniela oraz Objawienia apostoła Jana wizja Kościoła Czasów Ostatecznych.

>>W roku [18]93, dnia 2 sierpnia, po wysłuchaniu Mszy Świętej, nagle zostałam oderwana od zmysłów i stawiona przed majestatem Bożym.<< - pisze sama Maria Franciszka Kozłowska (s.11⁴). Pamiętać tu należy, że jest ona w tym okresie zakonnicą Kościoła Rzymskokatolickiego. >>Autentyczne objawienia prywatne mogą też stanowić podstawę profetycznej misji jednostki względem Kościoła, ale to nie znaczy, że można je traktować jako ulepszenie czy choćby uzupełnienie ostatecznego objawienia w Jezusie Chrystusie - jest to absolutnie wykluczone.<<³ - możemy wciąż przeczytać w wykładach teologicznych Kościoła Rzymskokatolickiego. Trudno się tymczasem nie zastanowić, czy fakt otrzymania przez Marię Franciszkę objawienia nie wpisuje się w pewne szersze zjawisko, z jakim mieliśmy i wciąż mamy do czynienia w historii Chrześcijaństwa. Powszechnie znane są objawienia z Lourdes (objawienie Maryi w 1858) i Fatimy (objawienie Maryi w 1917). Gdzieś zniknęła nam wiedza o Andrzeju Tomaszu Towiańskim (1799-1878), polskim filozofie, który 11 maja 1828 roku doznał objawienia w wileńskim kościele bernardynów. Podobnych przykładów można przytoczyć jeszcze wiele. Przez część badaczy historii Kościoła wiek XIX i początki wieku XX nazywane są okresem „Przebudzenia - adwentowo pentakostalnego”, bądź „mesjanistycznego”. Różnie pojmowane owo „Przebudzenie”, manifestuje się wśród różnych narodowości i członków różnych wyznań, w tym również - co się przecież wcześniej nie zdarzało - w społecznościach protestanckich (Ellen G.White, Józef Smith). Patrząc więc z takiego punktu widzenia, trudno kwestionować sam fakt otrzymania objawienia przez Marię Franciszkę Kozłowską, a tym bardziej kontestować, bądź negować jego prawdziwość.

Będąc Założycielką pewnego ruchu Maria Franciszka Kozłowska nigdy nie stała - patrząc od strony czysto formalno prawnej - ani na czele ukrytego Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów, ani tym bardziej na czele Zgromadzenia starającego się działać jawnie. W książce arcybiskupa Rafaela znajdujemy więc informacje o „Pierwszym Mariawicie” - ojcu Janie Przyjemskim (s.35) i o wyborze w 1903 r. na Ministra Generalnego Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów ojca Jana M. Michała Kowalskiego (s.111). Wydaje się więc być mariawityzm - przynajmniej w pierwszym etapie powstawania - charyzmatycznym, czy też pietystycznym, modlitewnym ruchem oddolnym, który - proszę mi wybaczyć - prawdopodobnie

z braku innych wzorów do naśladowania - poddał się duchowemu kierownictwu Marii Franciszki Kozłowskiej. Choć negatywnie ocenić ten etap ewoluowania mariawityzmu w stronę samodzielnego Kościoła (czy później kościołów), trzeba by przyjąć, że jego Założycielką od początku kierowała myśl o dokonaniu schizmy czy też w inny sposób dokonanego rozłamu. Tymczasem, parokrotnie podejmowane próby prawnego uregulowania sytuacji Zgromadzenia, takiemu zamysłowi zaprzeczają.

5 grudnia 1906 roku Maria Franciszka Kozłowska i ojciec Jan Maria Michał Kowalski, Minister Generalny Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów zostali wyklęci. Była to pierwsza ekskomunika większa w dziejach Kościoła nałożona imiennie na kobietę⁴. Wydaje się jednak, że z pierwszą „ekskomuniką większą” w historii Chrześcijaństwa możemy mieć do czynienia w przypadku Ananiasza i Safiry (Dzieje 5: 3-11). Nałożył ją apostoł Piotr, a skutki jej i dla ekskomunikowanych i dla świadków były przerażające. Ekskomunika kościelna ma długą historię i przeróżne konotacje. Jak pamiętamy z historii, w 1054 roku doszło na przykład do ostatecznego zerwania jedności i wzajemnego obłożenia się ekskomuniką kościołów wschodniego i zachodniego przez ich zwierzchników: papieża Leona IX i patriarchę Michała Cerulariusza. Ekskomunika ta została zdjęta dopiero w 1965 roku, trwała więc ponad 900 lat. Ani dla patriarchy Konstantynopola ani dla patriarchy Rzymu owa ekskomunika nie przyniosła już takich efektów jak dla Ananiasza i Safiry. Nie spowodowała też ona upadku żadnego z obu ekskomunikowanych kościołów. Można więc założyć - przy uświadomieniu sobie całego nacisku psychicznego, jaki na ekskomunikowanych ten fakt musiał wywierać - że było to tylko urzędowe stwierdzenie faktu, iż ekskomunikowani znaleźli się poza wspólnotą danego Kościoła. Ale można też na cały problem spojrzeć nieco inaczej. W roku 1906 minęło niewiele ponad sto lat od śmierci Piusa VI. W 1798 roku wojska francuskie pozbawiły papieża władzy doczesnej i proklamowały republikę. Osiemdziesięcioletni Pius VI został uwięziony i skazany na zesłanie. W czasie poniewierki zmarł w Walencji w 1799 roku⁵. W czasie soboru Watykańskiego I, a więc niewiele ponad trzydzieści lat przed ekskomuniką, zamknięto dopiero ostatecznie ciągnący się od XII wieku spór o koncyliaryzm, i starając się odbudować pozycję - wydawalioby się - całkowicie niedawno zdruzgotanego papieństwa , w 1870 roku przyjęto dogmaty o boskim prymacie jurysdykcyjnym papieża rzymskiego nad całym Kościołem oraz o nieomyślności doktrynalnej tegoż papieża⁶. Być może więc, ekskomunika nałożona na Marię Franciszkę Kozłowską i ojca Marię Michała Kowalskiego, nie dotyczyła sposobu w jaki praktykowali oni życie religijne, lecz wynikała z osobistego przekonania panującego dopiero od trzech lat Piusa X, że takie postawienie sprawy jest pewnym sposobem zademonstrowania światu owej nieomyślności doktrynalnej papieża. Wszak w tym samym okresie odmówił on audiencji prezydentowi USA Theodorowi Roosveltwi, ponieważ ten był protestantem, sprzeciwiał się utworzeniu w Niemczech wspólnych związków zawodowych dla katolików i protestantów, a na kandydatów do stanu duchownego nałożył obowiązek składania przysięgi antymodernistycznej.

Pamiętając o maksymie *vox populi - vox Dei*⁶, nie trudno zauważyć, że za ekskomunikowanymi mariawitami poszły tysiące, a ich przeciwnicy musieli przez całe dziesięciolecie wkładać wiele wysiłku, aby pochód ten powstrzymać.

>>W Kościele Rzymskim Ofiara Mszy Św. ustanie. Pan Jezus, jak to przedtem zapowiedział, już nie będzie zstępował na ołtarz we Mszy Świętej odprawianej przez kapłanów w grzechu ciężkim lub za pieniądze - zostawi dom ich pusty<< (porównaj: *Dzieło Mił.* s.78. *Notatki z roku jubileuszowego*, akapit 8) - możemy przeczytać w aneksie I - *Fragment Notatek Mateczki z Objawień otrzymanych w Roku Jubileuszowym 1918*” (s.369). Z lektury aneksu wynika, że notatka została napisana w 1918 roku, a dotycząca wydarzeń z roku 1903, a więc przed obłożeniem Marii Franciszki Kozłowskiej ekskomuniką. Wydawać nie znam *Dzieła Miłosierdzia*, być może moje wnioski co do umieszczenia tej nauki w historycznym ciągu zdarzeń są błędne. Nie to stanowi jednak największą trudność. W celu określenia ważności nabożeństwa, prawo rabiniczne stosuje pojęcie *‘minjan’*⁸ (hebrajskie: *‘liczba’, ‘kworum’*), według którego do ważnego odprawienia nabożeństwa jest konieczna liczba dziesięciu dorosłych

mężczyzn (powyżej 13 roku życia). Minjan wymagają tylko praktyki religijne publiczne, a dorosły mężczyzna jest zobowiązany do uczestniczenia w trzech nabożeństwach dziennie, w porach, kiedy w starożytności składano ofiary w Świątyni Jerozolimskiej. Uroczyste odczytanie Tory w poniedziałki i czwartki określa się mianem *'alija'* (*'podniesienie'*). Prawo rabiniczne odwołuje się więc również do Ofiary, zna Podniesienie (Słowa Bożego) i zabezpiecza się przed odprawieniem nieważnego nabożeństwa.

>>Bo gdziekolwiek są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem wśród nich<< (Mateusz 18:20) - czytamy w Ewangelii. Oznaczałoby to, że do odprawienia ważnego nabożeństwa wystarczy już dwoje chrześcijan modlących się wspólnie w imię Pańskie. Cóż zrobić jednak, gdy przewodniczący nabożeństwu celebrians, mimo fizycznej obecności na nabożeństwie wielu wiernych, nie porwał ich duchowo i nie zdołał nawiązać z nimi modlitewnej wspólnoty? Czy miałoby to oznaczać, że pozostał on w czasie nabożeństwa sam? Tym samym nie potrafiłby on wypełnić wskazań Ewangelii, a takie nabożeństwo, mimo cielesnego uczestnictwa w nim wiernych, należałoby jednak uznać za nieważne. Czyż nie przed taką sytuacją próbowała się bronić większość kościołów protestanckich, rezygnując w swej liturgii całkowicie z pojęcia *'Ofiary'*, a sprawowaną Wieczerzę Pańską interpretując przede wszystkim jako *'Pamiętkę'*? Podkreślić tu należy, że spór o rozumienie obecności Chrystusa w Eucharystii, a tym samym w Sakramencie Ołtarza, rozgorzał na setki lat przed pojawieniem się mariawizmu i mimo wkroczenia chrześcijaństwa w trzecie tysiąclecie, stanowiska wielu kościołów w tej kwestii do dzisiaj nie uległy zbliżeniu. Rozpatrując pojęcie obecności Boga w czasie sprawowanego nabożeństwa warto po raz kolejny wrócić do prawa rabinicznego. Nakazuje ono bowiem *odczytywanie* modlitwy publicznej nawet wtedy, kiedy celebrians zna ją na pamięć. Zakłada się bowiem, że spisany tekst modlitwy ma moc mistyczną, a jego kontemplacja umożliwia osiągnięcie odpowiedniego stanu ducha ułatwiającego połączenie z Bogiem. Idąc tym tokiem myślenia można się zastanawiać, czy kolejne redakcje, uwspółcześniające język liturgii, mające na celu pozorne przybliżenie jej wiernym, nie osłabiają jej mistycznej mocy. Tak sprawowana liturgia działałaby coraz mniej skutecznie, aż w pewnym momencie całkowicie straciłaby moc przywoływania Ducha Bożego. Pozwól sobie przytoczyć w tym miejscu cytaty ze strony internetowej pod tytułem „Kościoł.pl - Ekumeniczny serwis informacyjny”: >>Biskup Willie Walsh, katolicki ordynariusz Killaloe w Irlandii, przejdzie na emeryturę w 2010 roku. Seminarium duchowne w jego diecezji jest całkowicie puste. Nie ma nawet jednego kłeryka. Nic też nie wskazuje na to, że z początkiem nowego roku akademickiego 2003/2004 zgłosi się jakiś kandydat do seminarium. „Rachunek jest więc prosty - mówi biskup - już nigdy w swojej biskupiej służbie nie będzie mi dane położyć rąk na głowę neopresbitera”<<

Budzącą wciąż (przynajmniej w Polsce) emocje, najbardziej znaną reformą arcybiskupa Jana M. Michała Kowalskiego stało się kapłaństwo i biskupstwo niewiast. Tymczasem istnieje szereg poszlak, że problem posługi kobiet przy ołtarzu wielokrotnie pojawiał się i zniknął w historii chrześcijaństwa. W tekście przypisywanym Grzegorzowi z Nazjanzu (330-389), w kodeksie datowanym na lata 879-883 po Chrystusie, znajdującym się obecnie w Bibliotece Narodowej w Paryżu można odnaleźć osobne formuły modlitwy dla święcenia (po grecku: χειροτονια, dosłownie: wyznaczenie, mianowanie kogoś przez wyciągnięcie na niego rąk) diakonów i modlitwy przy święceniach (ten sam wyraz: χειροτονια) diakonis¹⁰. Czytamy tam między innymi >>Po ofertorium otwiera się bramę (ołtarzową w ikonostasie) i nim diakon rozpocznie litanie „Wszystkich Świętych”, kobieta, która ma otrzymać święcenia diakońskie jest prowadzona przed (arcy)biskupa. A po głośnym wypowiedzeniu „Dziękczynienia” (oświadczenia) kobieta, mająca otrzymać święcenia, pochyla głowę. Biskup kładzie rękę na jej czole, trzykrotnie kreśli na nim znak Krzyża Świętego i odmawia modlitwę<<.

Istotnych poszlak dostarcza nam również studiowanie historii sztuki. W 1649 roku inkwizycja zabroniła kategorycznie malowania Madonny w czerwonej szacie (płaszcz biskupi?), a od tego momentu postać Dziewicy Maryi, na wszystkich obrazach miała być oddawana wyłącznie w kolorze niebieskim i białym.

Nie mają też historycy wątpliwości, że w istniejącym w pierwszych wiekach zeszłego tysiąclecia we Francji Kościele Katarów, kazania wygłaszały również kobiety¹¹. Czyżby więc arcybiskup Kowalski był pierwszym biskupem, który udzielał kobietom święceń kapłańskich? Jest wiele poszlak wskazujących na to, że jednak nie.

Stosunkowo najmniej problemów stawia postrzeganie arcybiskupa Jana Marii Michała Kowalskiego jako świętego (s.134). Kościoły chrześcijańskie bardzo często uznają swych założycieli, czy założycieli swych zgromadzeń duchownych, za świętych. Wystarczy tu przypomnieć świętego Bazylego Wielkiego (329-379), twórcę obowiązującej do dziś w kościołach wschodnich reguły bazylikańskiej, który w Annesis (kolo Neocezarei Pontyjskiej), wraz z przyjaciółmi założył klasztor i szkołę, czy też świętego Grzegorza Oświeciciela (? - zmarł około 332) pierwszego biskupa Armenii, który skłonił do przyjęcia chrztu króla ormiańskiego Tyrydatesa III (III/IV wiek). Nie podlega też dyskusji, że arcybiskupowi Marii Michałowi Kowalskiemu przysługuje tytuł męczennika, który bardzo często jest utożsamiany z tak zwaną „opinią świętości”. Jednak osobie przywykłej do pewnej dyscypliny umysłowej, brak w książce arcybiskupa Rafaela powołania się na stosowny dokument, na przykład dekret arcybiskupa, Kapituły, czy Rady Przełożonych Kościoła, stwierdzający, że Kościół uznaje arcybiskupa Kowalskiego za Świętego.

Poważne trudności sprawia natomiast nie-mariawicze ustosunkowanie się do sposobu pojmowania osoby Marii Franciszki Kozłowskiej w Katolickim Kościele Mariawitów. Możemy otóż przeczytać w książce arcybiskupa Rafaela, że jest ona >>Małżonką Barankową i Najświętszą, podobną w świętości do Matki Najświętszej...<< (s.61), traktowana jest ona jako *Małżonka Chrystusowa* (s.75), *Oblubienica Chrystusowa* (s.115) Nazywa się ją *Nową Ewą* i *Zbawicielką świata* (s.101). Jest też przedstawiona jako *wcielony Duch Prawdy* (s.129), *Trzecia Osoba Trójcy Świętej* (s.102), *hipostatycznie zjednoczona z Duchem Świętym* (s.104). Czytelnik przyzwyczajony do ścisłego odgraniczenia sacrum od profanum, nie potrafi się najczęściej pogodzić z takim ustawieniem perspektywy w stosunku do żyjącego całkiem przecież niedawno człowieka, choćby człowiek ten umarł w opinii świętości, a za swego życia poddany był heroicznym próbom, czy też oddawał się największej nawet ascezie. Istotnie wydaje się, że historia chrześcijaństwa nie dostarcza tu dostatecznie bogatego materiału porównawczego, a żaden z kościołów nie poszedł tak daleko w uznaniu swych założycieli za wyjątkowych.

Cóż zrobić jednak z faktem, że wiele zniszczonych, uznawanych przez „prawowiernych” za hereetyckie, wczesnych kościołów, też poszukiwało mitycznej lub mistycznej Oblubienicy, a kult kobiecości, który rozkwitł w dwunastym wieku w Prowansji, miał miejsce z równoczesnymi próbami przywrócenia przez żydowskich kabalistów „Pani Matronit” - zagubionej - w żydowskiej mitologii - małżonki Jahwe¹². Nie tylko bowiem, jak pisze arcybiskup Rafael, określenie Ducha w języku aramejskim - Ruaha - jest rodzaju żeńskiego, ale również Szechina¹³ (hebrajskie: *'Obecność'*) jest rozumiana jako żeński element boskości i łącznik między duchowym światem Boga, a materialnym światem stworzonym. W wierze ludowej Szechina jest tęskniącą do Boga Oblubienicą, którą oddzielają od Niego zło świata materialnego i ludzkie grzechy, a która w epoce Mesjasza połączy się z Bogiem, co zakończy cykl istnienia Kosmosu. O ile hebrajska Szechina należy jednak bez wątplenia do świata duchowego, o tyle zupełnie cielesną postać przybiera hinduistyczny awatar¹⁴ bądź awatara, która jest wcieleniem w postać ludzką czy też zstąpieniem na Ziemię Boga lub jakiegoś wzniosłego ducha. Łatwiej więc byłoby przyjąć „felicianowskie” pojmowanie osoby Marii Franciszki Kozłowskiej hinduistycznie, czy też wyznawcy mozaizmu.

W Piśmie Świętym wielokrotnie się pojawia pojęcie „dnia ostatecznego” (hebrajskie: *'jom acharon'*, *'we-acharon'*), same zaś Ewangelie używają pojęcia *'znaków'* (greckie: *σημεία*) czasów ostatecznych. Te pojęcia uważa się za eschatologiczne, to znaczy związane z urzeczywistnieniem się historii zbawienia oraz zakończeniem historii grzechu i zła¹⁵. Nie dziwi więc specjalnie podtytuł książki arcybiskupa Rafaela *„Mariawicki znak czasu”*, czy wielokrotnie pojawiające się stwierdzenie o czasach ostatecznych (s.53 i następne). W tej książce moją szczególną uwagę przykuły dwa stwierdzenia. >>Po wprowadzeniu w naszym Kraju kilkanaście lat temu ustroju kapitalistycznego okazało się stopniowo, że jako Naród, społeczeństwo,

potrzebujemy teraz w daleko większym stopniu pomocy Bożej niż chyba w jakimkolwiek innym okresie historii. To, co się dzieje u nas w sferze moralności przechodzi wszelkie wyobrażenia. Bijące w oczy niemal powszechne zagubienie się ogółu ludzi w ich stosunku do Boga i ujawnienie się wynikających z tego stanu aktów zła najbardziej niegodnych człowieka, dokonywanych przez znaczny odsetek ludzi rzekomo wierzących, świadczy wymownie o wielkiej zapaści, w jakiej znalazł się nasz Naród. Zjawiska patologiczne, jakie miały miejsce w Polsce komunistycznej lub w II Rzeczypospolitej nie są w żadnym stosunku do tych, jakie obecnie występują<< (s.8) oraz >>dziś w dobie niekończących się kryzysów, zagrożeń można by sobie tylko pomyśleć o tym jak wyglądałaby nasza sytuacja, jak inaczej rysowałaby się przyszłość świata, gdyby hierarchia zamiast narażać siebie i ludzkość na ryzyko konfrontacji ze Sprawiedliwością Bożą, przyjęła Dzieło Wielkiego Miłosierdzia<< (s.53). Myśl tę można rozwijać, podając szereg przykładów o szalejących globalnie chorobach, wymieraniu kontynentu afrykańskiego, postępującej nędzy na kontynentach półkuli południowej, topnieniu lodów na Antarktydzie, dziurze ozonowej, czy wreszcie podejmowanych prawdopodobnie próbach klonowania ludzi. Historia chrześcijaństwa zna już podobne prądy umysłowe, wywodzące się na przełomie II i III wieku po Chrystusie z chiliizmu, czy millenaryzmu (greckie: χιλιαι = łacińskie: mille = tysiąc), badającego obwieszczające koniec świata „znaki czasu”. Ich głównie biblijne źródło to rozdziały 20-22 Objawienia apostoła Jana, pewne stwierdzenia z Ewangelii Łukasza, czy I Listu apostoła Pawła do Koryntian, a także księgi Izajasza i Daniela. Do jego zwolenników należeli: Justyn Męczennik, Ireneusz, Tertulian, Laktancjusz, Święty Ambroży, Ambrożyjaster, a początkowo nawet i święty Augustyn. W czasach nam współczesnych podobne poglądy głosi między innymi Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (mormoni), badacze Pisma Świętego oraz świadkowie Jehowy. Istotną jednak różnicą pomiędzy wymienionymi wyżej, wywodzącymi się z protestantyzmu denominacjami, a Katolickim Kościołem Mariawitów, jest stosunek do nieobecnych w tamtych kościołach Najświętszego Sakramentu. W książce arcybiskupa Rafaela czytamy bowiem o Odnowieniu człowieka przez cześć Przenajświętszego Sakramentu, a także o obecności Trójcy Świętej w Eucharystii, przez którą Bóg ma dokonać ostatecznego zbawienia świata (s.118). Jest to stwierdzenie wymagające głębszej refleksji, bowiem nawet mistrzowie tybetańscy uczą, że nasza modlitwa bez przerwy oddziałuje na świat, że dobra modlitwa jest w stanie tworzyć dobre społeczeństwo, że modlitwa którą wysławiamy się zgodnie z naszym uczuciem czy działaniem, wywołuje dokładnie to, czego się oczekuje¹⁵. Tak rozumiana adoracja Przenajświętszego Sakramentu jest więc wysławianiem i oczekiwaniem Boga.

Wydaje się na koniec, że czytelnikowi wychowanemu poza tradycją mariawicką duże trudności będzie sprawiało zrozumienie funkcji kapłaństwa ludowego i Mszy Świętej ludowej (s.139 i następne). Nie wynika bowiem z książki arcybiskupa Rafaela, czy - i jakie - święcenia otrzymują kapłani ludowi, czy też sprawują oni liturgię w oparciu o kapłaństwo powszechne. Tak samo trudno się nie zastanowić nad zagadnieniem, czy trwająca około 15 minut Msza święta ludowa nie jest zbyt daleko idącym uproszczeniem rytuału i czy w tak krótkim czasie człowiek jest w stanie wywołać w sobie pełne modlitewne skupienie.

Nie ulega jednak wątpliwości, że wydana przez Katolicki Kościół Mariawitów pozycja, poza ukazaniem czytelnikowi „felicianowskiego” punktu widzenia na niektóre aspekty mariawityzmu, mimo bardzo skromnego objętościowo przedstawienia zarysu własnych nauk, stawia szereg ważnych pytań, które się z jednej strony domagają głębszego opracowania, ale z drugiej strony każdy czytelnik musi odpowiedzieć sobie na nie we własnym sumieniu.

Janusz Andrzej Wieczorek

¹ Józef M.Rafał Wojciechowski, *Pisma Wybrane - Dzieło Bożego Ratunku - Mariawicki znak czasu*, Wydawnictwo Kościoła Katolickiego Mariawitów, Felicianów 2003, 410 stron + 8 kartek kredowych z ilustracjami czarno białymi i 2 z barwnymi.

² *Dzieło Miłosierdzia* s.3. *Początek związku*, akapit 3.

³ Karl Rahner, Herbert Vorgrimler, *Maly Słownik teologiczny*, Warszawa 1987.

⁴ Prawdopodobnie Mateczka pozostanie jedyną kobietą podległą tej rzymskiej karze kościelnej. *Ekskomunika większa* znika bowiem jako kara i pojęcie z obecnego prawa kanonicznego tegoż Kościoła. (przypisek redakcji).

⁵ Jean Mathieu-Rosay, *Prawdziwe dzieje papieża*, Warszawa 1995.

⁶ Łacińskie: *głos ludu jest głosem Boga*. (przypisek redakcji)

⁷ Urs Küry, *Kościół Starokatolicki*, Warszawa 1995.

⁸ *Słownik historii i kultury Żydów polskich*, Warszawa 2000

⁹ tamże.

¹⁰ John Wijngaards, *no Women in Holy Orders?* - „The Women Deacons of the Early Church”, Canterbury Press, November 2002.

¹¹ Stephen O’Shea, *Herezja doskonała*, Poznań 2000.

¹² Margaret Starbird, *Święta Oblubienica*, Bydgoszcz 1995

¹³ *Słownik historii i kultury Żydów Polskich*, Warszawa 2000.

¹⁴ Andrzej Donimirski, *Reinkarnacja*, Zakopane 1998.

¹⁵ Zachariasz Łyko, *Nauki Pisma Świętego*, Warszawa 1974.


¹⁶ James Radfield, *Tajemnica Shambali*, Poznań 2001

=====



LISTY DO REDAKCJI



O ARCYBISKUPIE M. MICHALE 

Chciałbym jeszcze raz powrócić do osoby brata Michała Kowalskiego i jego drogi duchowej. Chciałbym, aby moja ocena była bezstronna, aby nie obrażała tych, co mogą mieć inne zdanie. Nasza Najdroższa Mateczka w swoich objawieniach od Pana Jezusa pisze o bracie Michale: >>Ten jest syn Mój miły, w którym sobie upodobalem<< (*Dzieło Miłosierdzia*, s.48. *Wyjątki z objawień*, akapit 36). Było naszej Mateczce objawione >>Jak pierwsi apostołowie byli męczennikami ciała, tak wy jesteście męczennikami ducha.<< (*Dz.Mił.* s.52 *Wyjątki z objawień* akapit.46). I droga jaką brat Michał prowadził Kościół Mariawitów po śmierci Mateczki, droga reform, była przyczyną nagonki na kapłanów mariawickich przez różne pisma i ludzi z kręgów wrogo nastawionych do mariawityzmu. Większość kapłanów nie wytrzymało tego cierpienia ducha. Brat Michał trwał wiernie do ostatnich dni swojego życia. Jego duch cierpiał podwójnie, nie tylko od wrogów, gdyż po roku 1935 opuścili go również dawni przyjaciele i najbliżsi. A później, gdy był w obozie w Dachau cierpiał i na duchu i na ciele. Nasza Mateczka miała objawione >>Widziałam [...], że przelozony będzie musiał wiele cierpieć i że będzie męczennikiem<< (*Dzieło Miłosierdzia* s. 119, *Pierwotny Tekst* akapit 11.). Kilka lat temu czytałem książkę o obozie w Dachau, której autorem był biskup rzymskokatolicki. Nazywała się *Jasne Promienie w Dachau*¹. Jest tam kilkanaście zdań o bracie Michale:

Stacja kolejowa blisko Dachau. Na peronie grupa aresztowanych duchownych rzymskich w świeckich ubraniach. Dołączają do tej grupy brata Michała w stroju zakonnym. Strażnik pyta kim jest. Odpowiedź: „Jestem arcybiskupem mariawickim”. Biskup Kozal (święty obecnie), choć nikt go o zdanie nie pytał, powiedział ze złością: „On się sam tak mianuje”. Przy bramie wejściowej do obozu Dachau z budki strażniczej wyszło dwóch strażników, a ponieważ nie podobał się im strój zakonny, więc całe powitanie skierowane było na brata Michała i on za wszystkich odniósł razy bicia. Gdy ich zaprowadzono do pomieszczenia, a brat Michał siedział w osobnym kątku, pewien biskup rzymskokatolicki chciał go nawrócić. Po dłuższej rozmowie wrócił do swoich i powiedział „On mnie chciał na swoją wiarę nawrócić”.

W książce są tytuły poszczególnych rozdziałów. Jeden z rozdziałów, w którym jest mowa o bracie arcybiskupie Michale też nosi tytuł *Jasne promienie*. Mowa tam o tym jak brat Michał jest w izbie chorych. Stan jest już bardzo ciężki. Kilku biskupów rzymskich

odwiedziło go, aby w tych ostatnich chwilach życia „pojednał się z Bogiem”. Odpowiedział: „Naiwni, ja jestem w ciągłym zjednoczeniu z Bogiem”.

Odnoszę wrażenie, że autor tej książki, biskup rzymskokatolicki, chyba był natchniony Duchem Świętym. Bo tytuł całej książki i tego właśnie rozdziału, gdzie mowa o bracie arcybiskupie Michale jest *Jasne promienie* Autor pokazał, jak wielką wiarę w Mateczkę i w Dzieło Wielkiego Miłosierdzia Bożego miał brat arcybiskup Michał M. Kowalski. I to są te jasne promienie.

Henryk Radecki

¹Bp Franciszek Korszyński *Jasne promienie w Dachau*, Pallotinum, Poznań 1957, i późniejsze wydania różniące się tekstem.

=====

DRODZY PRENUMERATORZY! Nie zapominajcie podawać swego imienia, nazwiska i adresu, gdy odnawiacie prenumeratę. Zdarza się, że ktoś podaje tylko nazwisko bez imienia i adresu, a mamy po kilku prenumeratorów o tych samych nazwiskach. Raz otrzymaliśmy kopertę ze znaczkami pocztowymi na prenumeratę w ogóle bez adresu odwrotnego. W takich przypadkach po pieczęcie pocztowej staramy się domyśleć, kogo prenumerata dotyczy. Ale czy się zawsze dobrze domyśliliśmy?

Administracja „Pracy nad sobą”

=====

=====

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Paweł - **Czyś nigdy nie doznał cudu ?** - s.1
Aleksander Korwin-Szymanowski - **Bóg jest pełnią** - s.5
brat Jerzy - **Sierpniowe reminiscencje** - s.6
brat Paweł - **Pokusę trzeba przeżyć** - s.11
Jan Jasnorzewski - **Maryjność i tradycja** - s.15

RECENZJE, POLEMIKI:

Janusz Andrzej Wieczorek - **„Dzieło Bożego Ratunku”** - s.19

LISTY DO REDAKCJI:

Henryk Radecki - **O arcybiskupie M. Michale** - s.30

od redakcji - s.6.

od administracji - s.31

=====

PRACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie. Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Rzeszowie. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M. Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 - 31-049 Kraków. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów - 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji wyłącznie listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o wartości nie większej niż 1,20 zł) podając dokładny adres

nadawcy. Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 5 kolejnych zeszytów pocztą zwykłą wynosi - 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy - 15 euro, poza Europą - 20 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowymi przekazami pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.

=====